

TANB 4233

I znowu Fardin stanął u jej stóp. Tanb – góra, którą wiele lat mijał po drodze do Kermanu i porzrzucanych dookoła wiosek i siedlisk ludzkich, nigdy przedtem nie przyciągała jego uwagi. Piękna, ale nieprzystępna, krajobraz, ale nie cel. Góra – most, chroniąca miasta, domy i drogi przed niszczycielskim, pustynnym wiatrem, strażniczka i opiekunka ludzi i natury.

Aż nadszedł *ten* dzień, *ta* przekłeta chwila, która odebrała mu wszystko. Wtedy czas się zatrzymał, zamilkł szept świata, zamarł oddech, dusza skamieniała. Nadeszła bezdenna pustka, jego życie zmieniło się nieodwołalnie. Zniknęła przyszłość, pozostawiając go w milczącym, nieukojonym cierpieniu po utraconej przeszłości. Trwał w tym bezruchu godzina po godzinie, dzień po dniu, noc po nocy, bez końca.

I wtedy góra przemówiła, wezwała go do siebie. Nie umiał się przeciwstawić sile jej głosu. Podniósł się z trudem, przyszedł do jej podnóża, i stanął przed nią pokornie. Lodowaty i nieprzenikniony jak ona, pasowali do siebie.

To niemożliwe – pomyślał, że nie ma dość sił, aby wejść na jej szczyt, to o wiele wyżej niż sięga niski horyzont jego możliwości. Ledwo udawało mu się podolać codzienności, jak miał sprostać temu karkołomnemu wyzwaniu? Może zamiast zdobywać górę, powoli obejdzie ją wokół, przyjrzy się z dystansu każdej ze stron, ścianom i szczelinom, urwiskom i skalnym półkom, ścieżkom i wąskim, prowadzącym tylko w jedną stronę przesmykom. Może długą, samotną wędrówką odda pokłon Jej Wysokości Górze Tanb.

Ale nie tego żądała, czuł to wyraźnie, pierwszy raz od dawna doświadczał uczucia, które dotknęło jego zlodowaciałej duszy. Chciała, aby zmierzył się z nią wprost, krok po kroku i oddech po oddechu, kamień po kamieniu i skała po skała. Chciała, aby przeżył ją aż po sam szczyt, poznał wnikliwie jej zimne tajemnice, doświadczył własnej pustki i wyczerpania, przekroczył granice, do zatracenia. W zamian dawała mu szansę upamiętnienia swoich umarłych, leczenia pokaleczonej duszy. Tego wymagała i to ofiarowywała, a on musiał odpowiedzieć i spróbować sprostać jej żądaniu.

I teraz ponownie, jak każdego roku, stawiał się na jej wezwanie i ruszał na morderczą wspinaczkę, nierówną walkę z własną słabością wobec bezkresnej natury. Nie za-

stanawiał się, czy osiągnie szczyt, nie wiedział, skąd pochodziła determinacja do dokonywania niemożliwego. Każda droga zaczyna się od pierwszego kroku, więc stawiał ten krok, a za nim kolejne, przed siebie, do góry, bez dywagacji, bez spoglądania wstecz ani wybiegania w przyszłość.

Kiedy się na niego patrzyło, z każdym rokiem coraz bardziej kruchego i bezradnego wobec świata, kolejna próba wydawała się szaleństwem. Ale siła bezsilności popychała małego człowieka do przodu, a góra otwierała przed nim swoje ścieżki jak ramiona, witając dawno niewidzianego domownika. Wejdz, proszę, rozgość się w moich skalnych wnętrzach, zostań jak długo zechcesz – zapraszam!

* * *

Przez lata nauczył się, co jest potrzebne w drodze, zabrał do plecaka tylko niezbędne rzeczy. U góry każdy kilogram ciążył stukrotnie. Porcje jedzenia, odpowiedni zapas wody i ciepły śpiwór, który kiedyś dostał od napotkanych wspinaczy. Do tego konieczne latarka, zapalniczka, okulary przeciwsłoneczne, raki, apteczka, zapasowe skarpety, buty i rękawice. I płachta do okrycia podczas noclegu w górach. I kamienie – sześć starannie wybranych kamieni.

Zawiązał mocno buty, podciągnął wysoko skarpety, na głowę założył chustkę chroniącą przed słońcem, z wysiłkiem zarzucił plecak i pochyłony nisko, podpierając się kijami, ruszył przed siebie. Nie spotkał dzisiaj innych wędrowców, stawał z górą sam na sam. Niebo było błękitne, a powietrze rześkie, wschodziło słońce, ale chłód przenikał jeszcze na wskroś. Wspinaczka go rozgrzeje. Póki co droga była szeroka i równa, łagodnie wznosiła się do góry, prowadziła prosto przed siebie, strome odcinki i zdradliwe przewężenia czekały wyżej – pamiętał każde z nich.

Wiedział, że będzie musiał spędzić tam noc, już dawno porzucił myśl o próbie zdobycia szczytu i powrotu w ciągu jednego dnia. Był już zbyt powolny, musiał częściej i dłużej odpoczywać. Poza tym chciał poczuć dogłębną więź z górą, ukryć się w jej wnętrzu i poddać jej sile. W zamian otrzymywał od niej bezcenne chwile wewnętrznego spokoju i absolutnej ciszy, których tu na dole nie mógł już zaznać.

W drodze nie zastanawiał się, co przed nim, nie myślał o tym, co zostawia za sobą, liczył się tylko kolejny krok. Dostrzegał przepływające myśli, ale nie przywiązywał do nich wagi. Patrzył pod nogi na szarą drogę, na czubki butów pojawiające się w zasięgu wzroku przy każdym kolejnym kroku – na zmianę prawy, lewy, prawy, lewy. Wdech, chłodne powietrze wypełniało nos, usta i drapało w gardle. Wydech, kłęby pary wydo-

stawały się z ust i unosiły wysoko, skroplone zbierały się na brodzie i szaliku, srebrząc je w porannym słońcu. Miarowe bicie serca. Prawy but – lewy but, lewy kij – prawy kij, wdech – wydech, skurcz serca – rozkurcz, monotony cykl, prowadzący go ku górze Tanb.

* * *

Przeszedł już kilka kilometrów, pokonał różnicę wzniesień, czasem tylko przystając na krótki odpoczynek, żeby otrzeć pot ze skroni, wziąć łyk wody i uspokoić oddech. Z wolna droga stawała się węższa, bardziej wyboista i stroma, prowadziła w pełnym słońcu pośród płożącej się nisko roślinności.

Wtem, niespodziewanie, potknął się na prostym odcinku, kije wypadły mu z rąk, nie zdołał zachować równowagi i upadł. Plecak zsunął się przez barki i kark na ziemię, uderzając go boleśnie w głowę. Co się stało? Czy nie zauważył wystającego kamienia? Stracił czujność? A może zmęczenie dawało się już we znaki i powłóczył nogami?

Podpierając się rękami, rozdarł rękawicę i skaleczył dotkliwie dłoń i nadgarstek o twarde skały, naciągnął boleśnie bark. A czekały go jeszcze najtrudniejsze odcinki wspinaczki, a potem zejście. Powinien być w pełni swoich, i tak wątych, sił.

Może lepiej zawrócić, może tym razem to już zbyt trudna próba? Podniósł się z wysiłkiem, usiadł ciężko na przydrożnym kamieniu, położył obok kije i przysunął bliżej plecak. Zdjął zniszczoną rękawicę, otarł krew i obejrzał ranę. Była powierzchowna, ale rozległa, cały czas mocno krwawiła, a dłoń i nadgarstek zaczęły szybko puchnąć. Mógł poruszać palcami, zacisnąć pięść, chyba uniknął złamania. Na potylicy wyrósł spory guz. Było mu słabo, kręciło mu się w głowie.

Tak, zawróci, to nie miało sensu, był już za stary, nie miał sił, a teraz jeszcze ten wypadek. W plecaku znalazł apteczkę, a w niej opatrunki i elastyczny bandaż. Starannie, ciasno owinął dłoń i nadgarstek. Napił się wody, zjadł coś, zamknął oczy i wystawił twarz do słońca. Wokół panowała cisza, przerywana tylko podmuchami pustynnego wiatru. Powoli uspokoił myśli, płytki oddech, przyspieszone bicie serca. Musiał zdecydować, co robić dalej.

Pod przymkniętym powiekami zamigotały promyki światła, zmrużył mocno oczy i wtedy ją dostrzegł, jakby stała tuż obok. Shirin delikatnie głaskała go po obolałym barku, a znajomy dotyk koił ból, dodawał nieistniejących sił. – Poradzisz sobie, wstań, chodź do nas – zdawała się mówić miękkiem głosem, za którym codziennie tak bardzo tęsknił.

Wiedział, że to złudzenie, a mimo to wstał, z trudem się wyprostował, otarł z ubrania krew i piach, popatrzył wysoko w stronę szczytu – to tam miał dotrzeć, tam na niego czekali. Poprawił opatrunek, założył zapasowe rękawice, podniósł plecak i odetchnął głęboko. Możliwe od niemożliwego dzieli determinacja – *doświadczony wędrowiec idzie pomalą, lecz bez ustanku*¹.

Ruszył w górę.

* * *

Droga była coraz trudniejsza, ale palące słońce i bezwietrzna pogoda sprzyjały wspinaczce. Pot zalewał mu oczy, mięśnie drżały z wysiłku, a oddech kosztował coraz więcej sił. Jednak wyraźnie czuł, że wędrowka stała się łatwiejsza, a wiara we własne siły bardziej rzeczywista. Powoli, ale wyżej, do przodu, do celu, miał czas, nigdzie się nie spieszył. Znał tę górę, tę drogę, poznawał je lepiej z każdym rokiem. Przypominał sobie najpierw drzewa i polany, potem kaniony, skały i przewężenia, urwiska, wodospady i strumienie, pola śniegu i lodu – czekały na niego.

Wszedł na wąską półkę skalną przecinającą ogromną, stromą ścianę, zakończoną przepaścią. Niekiedy miejsca wystarczało zaledwie, żeby postawić stopę przy stopie, każdy krok wymagał wyjątkowej ostrożności, łatwo było się poślizgnąć i stracić równowagę. Był na tej drodze drobny i bezbronny jak dziecko. Silniejszy podmuch pustynnego wiatru mógł go zmieść w przepaść jak pył, zniknąłby w jej otchłani niezauważony i został tam na zawsze.

Potrzebował odpoczynku. Ostrożnie zdjął plecak, odłożył na bok kije i usiadł na kamiennej ścieżce. Rozpiął kurtkę, oparł się plecami o skalną ścianę, przymknął oczy. Obrazy przepływały spokojnie w jego myślach.

Wrócił do domu, byli tam wszyscy razem – Shirin z dziećmi i matka, radośni i beztroscy. Czekali na jego powrót z pracy, wewnątrz było jasno oświetlone, biło ciepłym, przytulnym blaskiem, przygotowana kolacja stała na stole, pachniało świeżo upieczonym lawaszem i baraniną z warzywami, do tego duszony bakłażan i zielecina. Lalka od wejścia przyglądała mu się z zaciekawieniem. Dzieci przekrzykiwały się jedno przez drugie, szczególnie ucieszył go perlisty śmiech Nassim. Aby uczcić urodziny Nooshy, przyniósł dzisiaj ich ulubione pistacje, ciasteczka daktylowe i chałwę, a ona, uszczęśliwiona, przygotowała kolorowe talerze z owocami i dzbanek gorącej, pachnącej herbaty.

¹ przysłowie perskie

Mimo zmęczenia po pracowitym dniu, dzięki nim odzyskiwał energię, zabawy z dziećmi mogły nie mieć końca. Nawet długa lista domowych zadań od żony i matki nie budziła jego sprzeciwu, czuł się potrzebny i spełniony, budował ich wspólny świat w swoim miejscu na ziemi. Po modlitwie i posiłku odpocznie chwilę i zabierze się do pracy.

Powoli otworzył oczy. Był szczęśliwy, mógłby tu zostać już na zawsze. Rozpocierający się widok zapierał dech w piersiach – to najpiękniejsze z tych miejsc na ziemi, które jeszcze istniały. Zielona roślinność i wijąca się rzeka w dole, rozświetlone słońcem, kamieniste przestrzenie wokół, a nad nim śnieżnobiałe szczyty na tle błękitu nieba. Najokazalszy grobowiec świata.

Niewiele trzeba, żeby tak się stało, wystarczy tylko zsunąć się z tej ścieżki, a potem poddać grawitacji, ona zrobi swoje. I znajdzie dla niego wybrane miejsce na wieczność. Ich zabrała bezduszna siła, on mógłby poddać się jej świadomie.

Zdecydować tu i teraz, aby zakończyć bezkres cierpienia, w którym tkwi od lat. Dołączyłby do nich w jednej chwili, już dziś wieczorem znowu byłiby razem – oszałamiająca perspektywa, spełnienie niewypowiedzianych nigdy marzeń, od których dzieło go teraz tak niewiele.

Zapatrzył się w nieruchomą przestrzeń. Płytki oddech, spokojne bicie serca, delikatnie pulsujące tętnem skronie, zatrzymany potok myśli, bezruch, cisza. Świat zamarł w oczekiwaniu.

I wtem – skąd na tej wysokości w nieruchomym krajobrazie – pojawił się majestatyczny orzeł; szybując dostojnie, zakreślił nad nim pętlę, zawisł chwilę w powietrzu, a potem niespiesznie odleciał w stronę szczytu, szare skrzydła załśniły w słonecznym blasku. Obudzona z marzeń myśl Fardina podążyła za nim, przypominając, po co tu przyszedł. Więc to jeszcze nie koniec jego drogi, trzeba iść dalej, jej zakończenie czeka gdzie indziej.

Jeszcze chwilę siedział na ścieżce, musiał dojść do siebie po tym, co wydarzyło się przed chwilą, przyglądał się spokojnie otoczeniu, a potem powoli podniósł się, założył plecak i poszedł dalej.

* * *

Wyżej były już pomieszane połacie skał i skrzącego śniegu. Założył raki, zmienił chustkę na ciepłą czapkę i poprawił okulary. Słońce było jeszcze wysoko, a przed nim daleka droga. Myśli kłębiły się w głowie. Był tu już tyle razy, a góra za każdym uka-

zywała swoje inne oblicze, podsuwała nowe wspomnienia.

Pamiętał kupno lalki – tej, która ocalała z rumowiska ich domu. Codzienne zakupy należały do domowych zadań Shirin, ale tego dnia miał chwilę wolnego i postanowił odwiedzić przyjaciela w jego *czajchanie*. To był piękny, jesienny dzień. Po drodze mijał wiele sklepów i straganów. Na jednym z nich dostrzegł lalkę w błękitnej tunice i chuście okrywającej włosy; od razu przyciągnęła jego wzrok. Uderzająco podobna do Nassim – tak samo ciemne oczy, bystre spojrzenie, rozbrajający uśmiech i dołeczki w policzkach. Odniosł wrażenie, że lalka przygląda mu się uważnie, podobnie jak on jej – dziwne. Zawsze miał bogatą wyobraźnię, uśmiechnął się sam do siebie, wzruszył ramionami i poszedł na spotkanie z przyjacielem.

Jednak w drodze powrotnej znowu na nią trafił, czekała na niego. Pomyślał, że zrobi niespodziankę swojej najmłodszej córce. Rozpieszczał Nassim, wiedział o tym i dawało mu to mnóstwo radości. Trudy życia jeszcze przed nią, na razie pora na beztrudne dzieciństwo. Kupił ją – i tak lalka trafiła do ich domu.

A potem ocalała w ruinach. Gdy odzyskał pamięć i mógł wrócić do siebie, zamieszkała z nim w jednym małym pokoju. Zawsze nienagannie elegancka i niezależna, miała swoje miejsce, z którego obserwowała jego nierówne zmagania z życiem, które mu pozostało. Czasami dzielił się z nią swoimi myślami i wspomnieniami, często przy niej płakał, czytał jej poezje, niczym wiernej towarzysze w milczeniu współdziałającej jego opustoszały świat.

* * *

Wspinaczka była coraz trudniejsza, często przystawał, chwycił się wystających kamieni i skał, żeby pokonać kolejny fragment pionowej ściany. Ślizgał się, nie potrafił zrobić kolejnego kroku, z trudem łapał oddech, uszkodzona ręka bolała coraz bardziej, nogi odmawiały posłuszeństwa. Jeszcze tylko te skały, potem grań i dotrze do celu – również powierzchni pod samym szczytem, na której teraz ustawione było sześć małych kamiennych kopców.

Pamiętał, jak dotarł tu po raz pierwszy. Od razu wiedział, że to jest właściwe miejsce. Płaskie śnieżne pole, ale osłonięte skalną ścianą, więc niemal zaciszne, szczyt góry w zasięgu wzroku. Rozciągał się stąd bezkresny widok, tak piękny, że nie ma słów, którymi można go opisać. Tutaj będzie im dobrze, będą go zawsze mieli na oku – jego i cały świat. Zrozumiał, że po to miał tu dotrzeć, tego chciała od niego góra, tu zachowa ich na zawsze w kochającej pamięci.

Wyjął z plecaka sześć kamieni, które z trudem tutaj przyniósł. Po jednym dla każdego z nich. Ułożył je obok siebie. I tak, rok po roku, wnosił na cztery tysiące dwieście trzydzieści trzy metry nad poziomem morza kolejnych sześć kamieni z rodzinnego Bam. Tak powstawały, stojące teraz jeden przy drugim, coraz wyższe kamienne cenotafy, odcinające się na tle odległego horyzontu. To jego hołd, pamięć i wspomnienie dla nich.

No właśnie! Powinno być ich sześć! Aż zadrżał. Pięć stało równo, tak, jak je pozostawił. A szósty? Rozrzucone na śniegu kamienie, część pewnie spadła w przepaść, bo kto i po co miałyby je stąd zabrać? Obcy człowiek celowo zniszczył jego pracę? Dla zabawy rozbił to, co on z wysiłkiem układał? Ptaki lub drapieżniki, może kozice – ale skąd by się wzięły tak wysoko? A może to góra rządziła się swoimi prawami, przyjmując wspomnienie tylko pięciu zmarłych, a sześcioro to już zbyt wiele? Nie pojmował, co i dlaczego mogło się tu wydarzyć.

Zaraz przypomniał sobie, że zawsze tak było, że każdego roku jeden kopiec był przewrócony. Za którymś razem przeniósł go, chroniąc dodatkowo, za skalny załom, ale to w niczym nie pomogło. Następnym razem znowu znalazł rozrzucone kamienie. Zawsze próbował ustawiać stabilny kopiec na nowo i wszystkie próby kończyły się tak samo.

Zdjął plecak i raki, kije odłożył pod skałą. Obszedł dokładnie całą skalną półkę, zebrał wszystkie kamienie i znów usypał z nich starannie szósty kopiec, niższy i drobniejszy niż pozostałe, przeznaczony dla najmłodszego z dzieci.

Wyjął z plecaka nowe kamienie i, jeden po drugim, starannie, z czułością, dołożył do każdego z kopców.

* * *

Skończywszy, ukląkł obok nich, twarzą w stronę Mekki i pograżył się w modlitwie. Trwał tak długi czas, a wiejący wiatr zabierał jego myśli, wspomnienia, ból i łzy, zdejmował z barków ciężar ponad siły. Podniósł się skostniały i wtedy dostrzegł, że nie jest sam.

Shirin podeszła do niego z kubkiem gorącej herbaty. Był spragniony i zziębnięty, a od niej było takie ciepło. Wypił wszystko duszkiem, błogość wypełniła go od środka, mógł nawet zdjąć rękawice, zraniona ręka przestała boleć. Jak to możliwe, że Shirin stała tu w cienkiej tunice i chuście, a nie marzła, miała takie miękkie dłonie?

Byli i Akram z Wadimem, jak zawsze nierozłączni, przynieśli ciepły koc i podusz-

kę do spania, a Noosha podała mu ulubiony placek z pieczonymi warzywami, zjadł ze smakiem. Matka krzątała się w oddali, jeszcze go nie zauważyła. Tylko nigdzie nie mógł dostrzec Nassim – gdzie się podziała jego kruszynka? Może już śpi, bo zrobiło się późno. Tak, na pewno śpi, nie musiał się o nią martwić.

Zostanie tu z nimi. Jest tak przytulnie, położy się przy skalnej ścianie, nawet ona nie była zimna ani twarda. Shirin czule otuliła go miękkim pledem, chciał zdjąć czapkę i kurtkę, ale powstrzymała go łagodnie, nakłoniła czułym gestem, żeby znów włożył rękawice, pogłaskała delikatnie po ogorzałej twarzy, przytuliła, nucąc cicho ich ulubioną melodię:

*Jeśli nie ma rozłąki,
Nie ma słodczy spotkania.
Z rozłąki – połączenie,
z mroku – świt się wylania².*

Zostanie tu z nimi trochę, a może nawet dłużej, był im potrzebny.

Potem wróci i w domu opowie lalce, co zastał tu na górze. Ona zrozumie.

Wtedy zmorzył go sen.

A JEDNAK

New York Post, 28.12.2003

Yekshanbeh, niedziela, 7 dey 1382, po godzinie 18 czasu lokalnego:

„Minęło 37 godzin od trzęsienia ziemi. W ruinach zawalonego domu znaleziono dziecko. Żywe. To dziewczynka – brązowoooka, ciemnowłosa Nassim. Łkała cicho w

² Hafez (op. cit.)

objęciach nieżyjącej matki, do końca chroniącej ją przed uderzeniem i ogrzewającej swoim ciałem. Dziewczynka była cała i zdrowa, chociaż głodna i wychłodzona”.
